

ANIOŁ STRÓŻ.

Czasopismo dla dzieci i młodzieży polskiej.

Wychodzi co tydzień.

Jesień.

A na głowie orzechowy wieniec,
A na licu kaliny rumieniec,
Srebrnych kłosów pełne ręce obie:
— Przypatrzcież się tej cudnej osobie!

Z jarzębiny ma sznury koralu,
Nad nią luna zachodnia się pali,
Przed nią pole ściele drogę złotą,
Bujne chmiele w warkocz listki plotą.

Za nią, idzie miedzą polna grusza,
Jabłoń w sadzie gałązkami rusza,
Śliwa do niej wyciąga ramiona,
W słodki owoc cała zapłoniona.

Coraz wolniej płynie modra rzeka,
Coraz dalej dzielonek gdzieś ucieka,
Przez świat jakiś cichy, zmierzchły szary,
Nieście Pani swe Królewskie dary.

Mgły ją lężne objęły zasłoną,
Smętne oczy w pól dalekość toną,
Przejrzały je od końca do końca,
Szukając jasnych blasków słońca.

Idzie cicha, idzie zadumana,
W leśnych wrzosach tonąc po kolana,
I otrząsa na ziemię z korony
Chłodne perły, brylantowe szrony.

U ogniska pastuszków się grzeje,
To zapłaczę, to znow się rośmieję,
Gdzieś po drodze szuka wzrok załosny —
Róż przekwitłych i minionej wiosny.

Pustem polem chodziła sierota,
Spotkała ją jesień, Pani złota...
Ucałowała, przywiodła do chatki —
— Dzielcież z biedą te moje dostatki!



Z życia Jasia.

(Ciąg dalszy.)

— Co to będzie, jeśli noc zaskoczy mnie samego w górach? — przemknęło mu nagle przez myśl i z trwogą spojrzął na słońce.

Na szczęście do zachodu było jeszcze daleko. Smutne te rozmyślanie przerwał Jasiowi odgłos dalekiego tętentu. Z trwogą spojrzął w tę stronę, myśląc, że napadają go rabusie, o których onegdaj wspominał przewodnik, któż jednak zdoła opisać jego radość, gdy w zbliżających się do niego jeźdźcach poznał pana Kalińskiego i przewodnika.

— A przecie znajdujemy cię, mój Jasiu! — zawołał pan Kaliński — byłem o ciebie taki niepokojny. Ale co ci się stało? — zawołał dostrzegłszy podrapaną i zakrwawioną twarz chłopca.

— Wpadłem pomiędzy kaktusy — odpowiedział chłopczyk, któremu lzy przestały płynąć, skoro tylko zobaczył swego opiekuna. — A wszystkiemu winien ten szkaradny mł... Zrzucił on mnie z siodła.

— Istotnie, nie twoja w tem wina, mój chłopce — odparł pan Kaliński — teraz musimy pomyśleć o tem, aby cię poratować i opatrzyć.

I pan Kaliński, z jak największą delikatnością i troskliwością, powyjmował kolce, które tkwiły jeszcze w policzkach i czole Jasia i obmył mu wodą twarz i ręce. Ma się rozumieć, że chłopczyk doznał wielkiej ulgi.

— Coby się ze mną stało, gdyby mnie pan nie znalazł? — powtarzał, tuląc się do pana Kalińskiego.

Tymczasem przewodnik udał się na poszukiwanie muła i wkrótce przyprowadził go za uzdę. Muł miał znowu taką samą potulną i spokojną minę jak dawniej, ale pan Kaliński nie pozwolił już Jasiowi wsiąść na niego. Resztę drogi odbyli wszyscy piechotą.

* * *

XII.

Pan Kaliński, chcąc, aby Jasiowi zgoiła się podrapana twarz i ręce, postanowił zatrzymać się w najbliższej wiosce na kilka dni.

— W mieście wyglądałbyś bardzo nieładnie — rzekł żartobliwie do wychowanka — lepiej więc poczekać w wiosce, aż na buzi twojej nie będzie żadnych śladów podrapania.

Jaś, choć był niezmiernie ciekawy zobaczyć Sewillę, nigdy jednak nie śmiały się sprzeciwić woli swego opiekuna.

Nazajutrz rano pan Kaliński zbudził chłopca i kazał mu się szybko ubierać, mówiąc, że pójdą daleko w pole, aby zobaczyć wschód słońca.

— Chciałbym sobie coś naszkicować, aby nie tracić czasu z powodu tego przymusowego odpoczynku — rzekł.

Jaś wkrótce był gotów i w pół godziny później siedł już ze swym opiekunem w pole.

— Patrz, Jasiu, czy widzisz ten las? Pójdziemy w tamtą stronę, zdaje mi się, że z tamąd ładny musi się roztaczać widok.

Gdy skręcili z pola i doszli do skraju lasu, ujrzeli pod cieniem drzew obozowisko Cyganów; obok rozpiętego namiotu i szałas, skłonego naprędce z gałęzi, pasło się kilka koni. Nad ogniskiem, w kociółku gotował się ranny posiłek, kilku kobiet o ciemnej, oliwkowej cerze i kilku jeszcze bardziej śniadych mężczyzn rozmawiało coś z wielkim ożywieniem. Spostrzegłszy nieznanym, umilkli, przypatrując im się ciekawie. Jaś również ciekawie spoglądał na obóz i na dziwaczne stroje Cyganów, lecz jednocześnie trwogą przejęły go ich ponure twarze.

— Chodźmy ztąd! — szepnął, pociągając pana Kalińskiego za rękaw.

Pan Kaliński także nie bardzo dowierzał popobnym włóczęgom, ale nie chciał okazać im swego niepokoju. Kto wie, czy Cyganie, widząc ludzi zupełnie oacych, nie posunęliby się byli do rabunku, lecz na szczęście, nładaleko odezwały

się głosy. Pan Kaliński zwrócił się w tamtą stronę i napotkał gromadkę wiesniaków, dających w pole do roboty. Przyłączył się więc do nich i zwrócił potem do wioski, postanawiając malować w pobliżu siedzib ludzkich.

— Ach, jak ja się przestraszyłem tych Cyganów! — mówił Jaś, siedząc na ziemi obok pana Kalińskiego, który szybko rysował w swoim albumie.

— Rzeczywiście spotkanie nie było zbyt przyjemne — odpowiedział pan Kaliński — o życie nie potrzebowalibyśmy się lękać, ale o kieszeń bardzo...

— Wyglądali jak rozbójnicy — dodał Jaś.

— Ech! tak źle, to znów nie jest — odparł, śmiejąc się pan Kaliński — oni co najwyżej posuwają się do kradzieży, ale rzadko kiedy do rozbój.

— Ach, jak pan ślicznie narysował te chaty! — zawołał Jaś z zachwytem, zaglądając do albumu.

Pan Kaliński uśmiechnął się, usłyszawszy naiwną pochwałę chłopca.

— Wracajmy do domu, aby się posilić. Jestem bardzo głodny — rzekł — i ty, Jasiu, zjesz pewnie obiad z apetytem?

— Naturalnie! — odpowiedział wesoło chłopczyk — mnie się także jeść chce, tylko nie chciałem panu przeszkadzać w pracy.

Wieczorem Jasio wyszedł na przechadzkę z panem Kalińskim, który z powodu obecności Cyganów w lasku, nie chciał się oddalać od wsi. Tutaj dowiedzieli się od wiesniaków, że Cyganie wyruszyli w dalszą wędrówkę.

— Chwała Bogu! — rzekł do Jasia — że już niema tu tych włóczęgów, można będzie przynajmniej swobodnie błąkać się po okolicy.

Po wieczery, gdy zmrok już zapadł, Jasio prosił, aby mu pan Kaliński pozwolił pobiegać trochę po polu, za chatą.

— I owszem, pobaw się trochę, tylko wróć wkrótce, bo chciałbym dzisiaj wcześniej położyć się spać.

Gdy Jaś odszedł, pan Kaliński, przysłuchując się cichnącym szmerom wioski, siedział długo na ławce przed chatą. Wreszcie obejrzał się raz i drugi, szepcząc do siebie:

— Dlaczegoż ten Jaś nie wraca?

Ściemniło się zupełnie, księżyc skrył się za chmurami, powietrze było duszne i parne, jak przed burzą. Pan Kaliński zaczął się niepokoić.

— Gdzież ten Jasio? Mówilem mu, aby prędko wracał... Pójdę go poszukać.

Obszedł dom dokoła i zaczął nawoływać Jasia — na próżno, nikt mu nie odpowiedział. Strwożony prosił o pomoc wiesniaków, zaczęto

szukać Jasia na wszystkie strony. Chłopca nigdzie nie było.

— Pewno porwali go Cyganie — rzekł jeden wieśniak — oni kradną dzieci.

Pan Kaliński przeraził się okropnie i chciał natychmiast rezesłać ludzi w pogon, ale noc ciemna stanęła na przeszkodzie. Trzeba było czekać rana.

O świcie kilku ludzi na koniach wyruszyło w różne strony. Z jednym wieśniakiem jechał pan Kaliński; po drodze rozpytywali się o Cyganów, ale nikt pod tym względem nie umiał ich objaśnić. Pan Kaliński zaczął już tracić nadzieję znalezienia Jasia.

Dojechali wreszcie do małego miasteczka. Upał dokuczał wielki, postanowiono przeto odpocząć tutaj parę godzin. Gdy księżyc ukazał się na niebie, pan Kaliński ze swoim towarzyszem skierował się w stronę przedmieścia. I któż zdoła opisać zdziwienie zasnętego opiekuna Jasia, gdy dostregł na pustym placu białą namiot i przywiązane obok niego konie.

— To Cyganie! — szepnął, powstrzymując swego konia.

— Tak, to oni! — powtórzył jego towarzysz. Ale nas jest dwóch tylko, a ich zapewne więcej. Niebezpieczną rzeczą byłoby napadać na nich. Ukryjmy się i czekajmy.

Zsiedli z koni i ukryli się za węglem pobliskiego domu. W okolicy namiotu cicho było, widać, że wszyscy w nim spali.

Pan Kaliński niecierpliwził się i niepokoił coraz bardziej. Wreszcie z jednego boku płótno namiotu odchyliło się nieco i z pod niego wysunęła się jakaś postać, która z powodu zmroku trudno było rozpoznać. Serce pana Kalińskiego забиło mocno. Nie zważając na groźne niebezpieczeństwo, podbiegł szybko do owej postaci, wołając:

— Czy to ty, Jasiu?

— O, Boże! — wykrzyknął chłopczyk — więc to pan! O, jakżeś Bóg dobry, że mi pozwolił jeszcze oglądać pana.

— Chodź, dziecko, chodź prędzej! — mówił pan Kaliński, pociągając za sobą Jasia.

Ale chłopczyk z wielkiej radości i ze wzruszenia prawie omdlał, tak, że pan Kaliński, unosząc go w objęciach. Wkrótce jednak dzielny chłopiec odzyskał siły i całował ze łzami pana Kalińskiego, dziękując Bogu za tak cudowne ocalenie i opowiadając, jak niespodziewanie został przez Cyganów porwany i jak przymyślał nad tem, aby się móżdż z ich rąk uwolnić.

(Ciąg dalszy nastąpi).

SOSNA.

— Nie masz ich czego żałować, kumo — zaświergotał — ścięli je na to, aby ludziom użyteczne były.

— Użyteczne — powtórzyła sosna zaciękawiona. — A w jaki to sposób?

— O, w najrozmaitszy. Te najwyższe, najprostsze, ludzie przeznaczają na maszty do statków, lub pilują na deski, z których potem stawiają domy i wyrabiają różne sprzęty. Inne młode sosenki rąbią na sztuki i wiozą na opał do miasta, albo też wydobywają z krążącego w nich soku te części, które drzewa zabrały sobie z ziemi i powietrza, i na różne je rzeczy dla siebie przerabiają.

— Na cóż takiego?

— Zbyteczna ciekawość, moja pani sosno. To są rzeczy za mądre dla ciebie. Chcesz jednak, to ci powiem. Oto widzisz, ludzie różnymi sposobami przerabiają soki drzewa na terpentynę, na smołę, kalafonię, ocet drzewny itd.

Cóż? zrozumiałaś?

I wróbel drwiąco spojrział na słuchaczkę.

— Zrozumiałam najważniejsze. Siostry moje nie idą na marne. Padają one jak te kłosy, które tam na polu ścina co lato sierp żniwiarza, i jak one, śmiercią swą życie dają, pożytek drugim niosą.

Aż oniemiał wróbel na chwilę, słysząc odpowiedź starej sosny.

— Ho! ho! a to mi mądra — szepnął do siebie. — Teraz ja jej nie a nic nie rozumiem. Rośnie to w ziemi, z miejsca się nie rusza, niby nic nowego nie słyszy, nie widzi. Zkąd się więc w tem takie myśli biorą?

Tymczasem sosna dumiała nad czemś głębokim, bo wreszcie ozwał się jej szmer cichy.

— Ale jednej rzeczy to mi żal bardzo.

— Czego? — spytał wróbel.

— Dzieci. Skoro latem tutaj przyjadą i zobaczą pustki, zasmucą się bardzo.

— Ha, cóż robić. Ja również ich żałuję! Może też ludzie pofolgują tym biednym lasom, bo na niedługo ich starczy. A wtedy źle nam wszystkim będzie.

Zatrzepotał skrzydełkami i odleciał.

Sosna na wzgórzu wciąż nad słyszanem opowiadaniem rozmyślała. Stuk siekier bolał ją jeszcze, ale mniej niż poprzednio. Powtarzała sobie.

— Siostry moje nie giną marne: idą teraz służyć drugim, nieść im pożytek.

Wreszcie dotarli ludzie do wzgórza, na której rodzina naszej sosny wyrosła.

Upadło śliczne drzewko, najwyższe z gromadki.

Matka nie pytała już teraz, co się z niem stanie.

— Idź — wyszeptala — jako wiosło pomagaj żeglarzom, jako ster prowadź łódkę przez głębiny. I nie daj się złamać wichrom i burzom.

A drugiej przysadzistej sosence rzekła:

— Porąbaj cię na sztuki, spalaj, lecz tak być powinno. Płomieniem swoim ogrzewaj serca ludzkie, troskę spędzaj im z czoła, — budź myśli wesole, Popiołem użyżniaj ziemię karmelicę.

I tak jedno po drugim, wędrowała dziatwa leśna w świat daleki; wędrowała, by nigdy nie wrócić.

A matka żegnała każde słowami.

— Idź, bądź użytecznem.

Pozostała jeszcze jedna mała, ale smukła sosenka. Przytulona do pnia rodzinnego, strzelała w górę gałązkami lepkiemi od żywicy, zdrowa, pełna życia.

Staruszka sosna patrzyła na nią z rozkoszą.

— Rośnij, pociecho ty moja — szemrała. — Nabieraj sił, byś dług wdzięczności zapłacić mogła. Może z czasem wkoło ciebie nowy las się rozwinie, nowe grono pracowników wyrośnie.

Tymczasem nadeszła zima. Mróz ściał ziemię. W przerzedzonym lasku było cicho. Wrony i wróble odleciały w stronę mieszkań ludzkich, tylko czasem zgłodniały zajączek przemknął pod drzewami.

Aż tu jednego dnia przyszedł jakiś człowiek. Bardzo był zmęczony, bo mimo mrozu ocierał pot z czoła. Widocznie przychodził z daleka, może aż z tego miasta, które het za lasem znaczyło się w dzień pogodny siwą pręgą dymów na niebie.

Człowiek obejrzał się. Pochodził między drzewami, niby czegoś szukając.

Długo nie mógł znaleźć!

— Jest, jest — zawołał wreszcie, zwracając się w stronę pagórka. — Ach, jaka śliczna, toż to radość będzie!

Rąbnął siekierą raz, drugi... sosenka upadła na ziemię.

W matce staruszce aż serce zamarło. Zabrali... zabrali jej ostatnią... jej jedyną i ponieśli daleko.

Więc zawodziła żałośnie, szamocąc gałęzmi.

— Po co? dla czego mi ją wzięli? — ją, niewyrosta jeszcze, niezdatną do niczego. Na marne poszła, na marne.

Wiatr przyjaciel, który właśnie hulał sobie po lasku, usłyszał raz te wyrzekania:

— Niosę ci też, kumo, pozdrowienie od twej córy — zaświstał.

Ho... ho... ani poznałabyś jej teraz, taka piękna.

— Gdzie ją widziałeś? Powiedz.

— Widziałem tam, gdzie niktby pewnie nie szukał, w małej ciasnej izdebce. Wecisnąłem się szczeliną ed okna i zobaczyłem. Stała sobie przy łóżku chorego malca, jednego z tych, którzy tu byli latem. Cienkie świeczki paliły się na drzewku, a w ich blasku migotało kilka orzechów złoconych i pierników. Chłopak leżał blady jak papier, ale na twarzy świeciła radość. Wyciągał ręce, śmiał się i wołał:

— Choinka. Moja własna choinka!

A matka i ojciec płakali, już nie wiem czemu. Dobiegły mnie tylko ich szepty ciche:

— Uśmiechnął się! On się śmieje znówu!

Patrząc na nich, odechciało mi się figlów, nie zgasiłem ani jednej świeczki i przyleciałem tutaj.

— Więc nie zginęło moje dziecko marnie!

Więc i ono jest użyteczne!

— O dzięki Ci, Boże!

I stara sosna na wzgórkę nie była już smutną:



ŁAMIGŁÓWKI.

I.

Wyrazów 10. Początkowe litery dadzą nazwisko sławnego poety.

Sylaby: I — za — ta — ma — gła — In — za — wiel — dyk — wa — i — cha — ce — na — ka — wan — bu — E — bład — jac — wa — la — li.

Znaczenie wyrazów:

- 1) Owoc.
- 2) Narzędzie do szycia.
- 3) Schronienie.
- 4) Napój.
- 5) Imię cara.
- 6) Pierwsza niewiasta.
- 7) Zwierzę gorąc. krajów.
- 8) Ptak domowy.
- 9) Jarzyna.
- 10) Zwierzę leśne.

Rozwiązanie łamigłówek z Nr. 40.

II.

A — na — nas.

Dobre rozwiązanie II łamigłówek z nr. 40 Anioła Stróża nadesłał Jan Szulc z Poznania.